

Teksty Drugie 1994, 5-6, s. 156-160



Były, dawny, tak zwany

Zofia Stefanowska

lanie pola wypowiedzeniowego. Prawo słów – nieanalogiczne do praw filologów – pozwala więc na to, aby nadać wszystkim tym dociekaniom miano archeologii.¹⁴

Pismak 1863, podobnie jak pozostałe książki serii, ma charakter otwarty, należy go czytać raczej „na wrywki” niż „od deski do deski”. Złożony został (prócz cyklu *Notatek*) z autonomicznych tekstów, z których każdy jest jakby rekonesansem w interesujący badacza rejon; rekonesans taki owocuje zwykle rozpoznaniem problemu, nie pretendującym do jego ostatecznego wyjaśnienia, prowokującym raczej do dyskusji, zachęcającym odbiorcę, by sam stał się archeologiem, na własny rachunek zestawiał elementy mozaiki. Ta aktywna postawa czytelnika jest niejako wymuszana poprzez stosowanie w poszczególnych szkicach techniki zbliżonej do escistycznej: aparatura naukowa pracuje cichutko i prawie wcale jej nie widać, przedstawia się natomiast historie nierzadko zupełnie jednostkowe¹⁵, opatrując je lokalną terminologią (np. typologia „pismaków”, rodzaje kiczu naukowego), która znakomicie daje się uogólniać, ale trzeba to zrobić samemu. Owo „zrób to sam” dotyczy także części, jak i całości dzieła o PRL-u: model komunikacyjny tego czasu jest w dużej mierze modelem do składania, ale praca to nie mozolna, lecz przyjemna (niemałą rolę odgrywa tu poczucie humoru autora). Humanistycznym majsterkowiczom (nazywanym przez Clauda Lévi-Straussa *bricoleurami*), do których zalicza siebie piszący te słowa, dostarczy z pewnością wielu radości.

Adam Makowski

Były, dawny, tak zwany

Kiedyś już miałam okazję powiedzieć kilka słów o *Marcowym gadaniu* Michała Głowińskiego (zob. „Teksty Drugie” 1992 nr 4). W rok później autor wydał następny tom „komentarzy do słów”, *Peereliadę*. Zamykający całość tom trzeci pt. *Mowa w stanie obłączenia. Komentarze do słów 1982–1987*, jeszcze się nie ukazał. Kie-

¹⁴ Tamże, s. 167.

¹⁵ Jak losy tytułowego „pismaka” – XIX-wiecznego publicyisty Józefa Aleksandra Miniszewskiego, który piórem wojował z powstaniem styczniowym, a od sztyletu zamachowca zginął albo owego „Pułkownika”, który zastrzelił córkę i zięcia z powodu różnic w poglądach politycznych.

dy rzecz będzie wydana, napiszą o niej – jak o tomach poprzednich – specjaliści–językoznawcy. Będąc w tej dziedzinie dyletantem, nie chcę wchodzić w obcą mi rolę. Zamierzam skorzystać z kompetencji, którymi los obdarował ludzi mojego pokolenia i pokoleń sąsiednich: kompetencji świadka historii. Maszynopis tej książki czytałam tylko wrywkowo i czytałam ją jako dokument historyczny. Nad wartością pracy Głowińskiego, jego zbieractwa tekstów oficjalnej propagandy i komentowania ich na świeżo, nad wartością tego pisania do szuflady jako źródła historycznego pragnę się zastanowić.

Z historią najnowszą, taką sprzed kilku lat, są jak wiadomo kłopoty badacza: luki w archiwach, natłok żyjących aktorów ówczesnych wydarzeń, takich, którym się wydaje, że „wiedzą lepiej”; elementy kontynuacji tamtego okresu w życiu dzisiejszym, co sprawia, że historia lat osiemdziesiątych bywa nadal terenem gry politycznej. Tymczasem język stanowi nader praktyczne medium, w którym odciskają się właściwości epoki. Oddech czasu można wykryć w językowych dokumentach świadomości indywidualnej, bardziej jednak są wymowne dokumenty świadomości grupowej, takie jak oficjalne enuncjacje i oficjalna propaganda siły rządzącej. Właśnie dlatego, że są to teksty pozbawione spontaniczności, poddane presji, kontrolowane, skonwencjonalizowane w stopniu znacznie większym niż proza polityczna systemów wielogłosowych. Każde odchylenie od rytualnej normy może coś znaczyć, może być podejrzane o intencjonalność. Jeżeli ktoś zna reguły peerelowskiego mówienia – a Głowiński jest niekwestionowanym ekspertem – ma czego dociękać. W sytuacji stanu wojennego i kilku następnych lat, wobec programowych odnow, odrodzeń i reform, znacząca jest kontynuacja oficjalnego języka sprzed 13 grudnia i znaczące są wszelkie innowacje. A więc próby językowego kamuflażu, podszywania się pod język opozycji, kradzieży frazeologii solidarnościowej. Postulaty np. demokratyzacji, jawności życia publicznego, samorządności, partia – jak twierdzi – konsekwentnie realizuje (komentarz pt. *Dwa cynizmy* do artykułu „Trybuny Ludu” z 23 stycznia 1984). Więcej jednak zmian obserwuje Głowiński w manipulowaniu historią, przez np. kreowanie Gomułki na wzór nieposzlakowanego komunisty przeciw zgubnym dewiacjom Gierka i jego ekipy. Nad sporadycznymi zmianami dominuje wszakże kontynuacja peerelowskiego języka oficjalnego, nawet jeśli jego niesprawność w nowej sytuacji jest oczywista. Wydaje się, że partyjna

nowomowa odziedziczona po poprzednikach jest dla elity władzy rodzajem azylu, gwarancją, że jeśli język się nie zmienia, to rzeczywistość także zmienić się nie może. Konwencjonalne formuły zdają się kryć fobie i lęki rządzących. O jednym z przemówień Jaruzelskiego pisze Głowiński, że rzucającą się w oczy jego cechą jest „niekontaktowanie z tym, co się w Polsce dzieje; w warstwie opisowej jest to po prostu rodzaj fantastyki: obraz Polski, w której opozycja już właściwie została pokonana, działają tylko gdzieś tam jakieś niedobitki. Klasa robotnicza popiera swoją partię (...). Partię już odrodzoną, która ma odwagę spoglądania prawdzie w oczy...” (*Odwaga spoglądania prawdzie w oczy*, komentarz z 30 listopada 1985). W innym miejscu (*Jak mówi partyjny profesor?*, komentarz z 26 listopada 1985) autor pisze o „języku grupy wyalienowanej ze społeczeństwa, która z jednej strony dba o dogodny dla siebie wyrażanie swych celów i dążeń (a także o zgodność z doktryną), z drugiej zaś usiłuje stworzyć pewien swój obraz, dokonać jakby publicznego uwznioślenia siebie”.

Uwagi o anachroniczności języka rządzących powracają raz po raz. Towarzyszy im jawne zniccierpliwienie z powodu jego absurdalnej trwałości, oporności wobec biegu dziejów: „w komunizmie niewiele się zmienia, (...) jego historia nie ma charakteru linearnego, sprawdza się zaś do nieustannych powrotów” (*Psychoza szpiegowska*, komentarz z 6 września 1985).

Warto tu odwołać się do francuskiego przeciwstawienia kraju legalnego krajowi realnemu, przeciwstawienie, które czasu ostatniej wojny dobrze ujmowało stosunki między okupantem a okupowanymi. Tu właśnie, w odniesieniu do *Mowy o stanie oblężenia*, może być ono przydatne. Bo jeśli Głowiński z rosnącą irytacją obserwował alienację, oderwanie od rzeczywistości języka władzy, jeśli komentował słowa, zdania i artykuły jako sprzeczne z doświadczeniem i zdrowym rozsądkiem, jako puste semantycznie sygnały władzy, że oto jest władzą i swój status władzy może demonstrować właśnie korzystając z nie ograniczonego ani doświadczeniem, ani zdrowym rozsądkiem prawa do mówienia bzdur (i w pewnym sensie im większe to były bzdury, tym mocniej potwierdzały władzę jako taką), otóż Głowiński oburzając się i komentując mówienie rządzących jako wyobcowane, pozbawione kontaktu z krajem realnym, w jakiejś mierze wchodził w rolę narzuconą mu, nam, społeczeństwu, przez rządzącą ekipę. Bo ekipa ta, przynajmniej na początku stanu wojennego, starała się

o wywołanie w społeczeństwie odruchu okupacyjnego, o ożywienie pamięci ostatniej wojny. Względami praktycznymi nie tłumaczyły się przecież te zarządzenia, których prawie że jedyną funkcją było stworzenie pejzażu okupacyjnego (godzina policyjna, przepustki, jawna cenzura korespondencji, patrole na ulicach itd.; mnie osobiście brakowało tu zaciemnienia okien). Przypomnienie terroru okupacyjnego miało być, sędzę, socjotechnicznym środkiem wspomagającym.

Do takich środków należała też prowokacja językowa: słowa nie liczące się już nie tylko z faktami, ale także z nastrojami społecznymi. (Cyniczne prowokacje na samym czubku władzy, automatyzm nawyków językowych na niższych poziomach aparatu propagandy.)

Głowiński dał się sprowokować. Wszyscyśmy się dali sprowokować! Tylko że akurat w wypadku Głowińskiego rezultaty prowokacji zostały utrwalone na piśmie. I okazały się świetne literacko, a także historycznie wierne. Wielkość autora ujawnia się nie tylko w dociekliwości analiz językowych, nie tylko w elegancji ostrego pióra. Także w tym, że przygotowując po latach swoje szufladowe zapiski niczego w nich nie zmieniał. Nie prostował — podobnie jak w tomach poprzednich cyklu — własnych omyłek, nie wyrzekał się ówczesnego oburzenia i ówczesnego entuzjazmu, nie zacierał wyrazów swojej, naszej, naiwności. Dzięki temu właśnie jego *Komentarze do słów 1982–1987* są tak wiernym dokumentem tamtych lat, dokumentem świadomości liberalnej, opozycyjnej inteligencji. A także dokumentem tamtej osobliwej sytuacji komunikacyjnej. Osobliwej, bo wprawdzie kraj legalny, władza jest niemal zupełnym monopolistą w druku oficjalnym, ale kraj realny, społeczeństwo, w znacznej wówczas mierze zjednoczone wokół aktywnej politycznie opozycji, rozgadane jest jak nigdy dotąd. Ilość opozycyjnie zadrukowanego papieru sprawia, że w żaden sposób nie można mówić o społecznej niemocie. Przeciw sztywnemu monologowi władzy rozbrzmiewa wielogłosowy chór drugiego obiegu. Oczywiście, nie może nie dochodzić do dialogu między władzą a opozycją, ale głos władzy w tym dialogu jest pokrętny, czasem zakamuflowany, czasem ograniczający się do aluzji, niekiedy realizowany przy pomocy pośredników: korespondentów zagranicznych, Radia Wolna Europa i Paris Inter. Raczej dawanie do zrozumienia niż mówienie.

Głowiński, zarówno czytelnik, jak i autor drugiego obiegu, z rzadka tylko odwołuje się do swoich nielegalnych źródeł informacji. Na ogół

utrzymuje się w roli, którą sam sobie narzucił w tomach poprzednich: systematycznego i docieklivego czytelnika peerelowskiej oficjalności. Nad swoimi uwagami położyłam tytuł zapożyczony od Głowińskiego: *Były, dawny, tak zwany*. (Już to tytuły tych drobnych komentarzy–esejów składających się na *Mowę o stanie obłączenia* to istne orgie złośliwości i finezji stylistycznej, spis ich to świetna lektura sama dla siebie.) Otóż określeń „były, dawny, tak zwany” propagandziści partyjni używali, jak sądzi Głowiński, jako formuł z zakresu „negatywnej magii słownej”, formuł, które mają podkreślić „nieistnienie” atakowanych osób i instytucji: „b. przewodniczący, b. »Solidarności«” (komentarz z 20 grudnia 1984). Więc dobrze, użyjmy tych unicestwiających określeń jak osinowego kołka. Tak zwany realny socjalizm w byłej PRL – to było dawno, już pięć lat temu.

Zofia Stefanowska

O Wyspiańskim – inaczej

Lubię książki, które burzą ustalone porządki myślenia, historycznoliterackie hierarchie czy nawyki interpretacyjne. Toteż z prawdziwą satysfakcją przeczytałam pracę Marii Prussak o Wyspiańskim *Po ogniu szum wiatru cichego*.

Powiedzieć o tej interpretacji: odkrywcza, to stanowczo za mało. Ona jest wywrotowa, burzycielska, choć zarazem niesłychanie skromna, dyskretna, pozbawiona afektowanej retoryki „burzycieli”, polemicznych zaczepiek czy myślowych suspensów zakończonych błyskotliwymi pointami. „Wywrotowość” jest tu raczej rezultatem drobiazgowych badań, skrupulatnej, by nie powiedzieć: pedantycznej analizy strukturalnej (dla młodych historyków literatury to dziś już, niestety, niemal zapomniany język).

Maria Prussak – w odróżnieniu od wielu badaczy dzieł Wyspiańskiego – poddaje takiej właśnie analizie cały tekst jego dramatów: nie tylko wypowiedzi postaci (co czyniono zwykle), ale również didaskalia, które wyraźnie sugerują organizację przestrzeni scenicznej, wizję teatralną. Niezwykle wycucie „przestrzenności” tekstu dramatycznego oraz jego potencji inscenizacyjnych (jakże drobiazgowo odnotowuje autorka każdą zmianę teatralnej perspektywy, rozmiary postaci